

ANKIETA REDAKCYJNA
Jak mówić o Unii Europejskiej?

Od redaktora prowadzącego
(Agnieszka Cianciara)

Zdanie „Unia Europejska znajduje się w [wielowymiarowym] kryzysie” jest w ostatnich latach, zarówno w Polsce, jak i w Europie, odmieniane przez wszystkie przypadki. Czy jako badacze, analitycy i publicyści jedynie kryzys ten diagnozujemy, czy może za pomocą języka go utrwalamy i wzmacniamy lub może marginalizujemy? W jaki sposób mówimy i piszemy o Unii Europejskiej? Czy jako naukowcy wybieramy określone teorie, podejścia badawcze w zależności od politycznych preferencji związanych z entuzjazmem lub sceptycyzmem wobec współczesnej Unii Europejskiej? W jakim stopniu te wybory otwierają, a w jakim zamykają nas na rzeczową analizę rzeczywistości politycznej, społecznej i gospodarczej w UE? Wreszcie, jak mówić o Unii językiem zrozumiałym i angażującym odbiorców (czytelników, studentów, opinię publiczną): czy taką funkcję pełni język traktatów, instytucji i procedur, czy może potrzebujemy czegoś „nowego” – języka wartości, tożsamości, emocji i doświadczeń? Pytania te wydają się szczególnie istotne w świetle redefinicji polskiej polityki europejskiej po 2015 r., sporu rządu RP z Komisją Europejską oraz zmian zachodzących w samej Unii.

O zabranie głosu w tych fundamentalnych kwestiach poprosiliśmy prawników, historyków i politologów. Wszyscy respondenci są naukowcami, ale część z nich jest też dyplomatami, politykami, doradcami rządów i prezydentów RP oraz – co najważniejsze – osobami czynnie zaangażowanymi w debatę publiczną, które łączy przekonane, że obowiązkiem naukowca jest nie tylko analizować, ale i kształtować rzeczywistość. Łączy ich również od wielu lat wspólne zadanie, jakim jest tworzenie pisma „Sprawy Międzynarodowe”, czy to w ramach ścisłego grona redakcyjnego, czy też szerszej rady redakcyjnej. Proponowana w niniejszym numerze formuła ankiety (względnie debaty) redakcyjnej będzie regularnie powracać w kolejnych numerach pisma. Naszym celem jest nie tylko publikowanie artykułów na najwyższym poziomie naukowym, ale również tworzenie przestrzeni dla

żywej i inspirującej debaty nad bieżącymi wyzwaniami stojącymi przed polską polityką europejską i zagraniczną.

Jan Barcz

Punktem wyjścia w poszukiwaniu odpowiedzi na sformułowane problemy powinna być chyba diagnoza obecnego stanu. Zważmy, że z reguły przyjmuje się założenie, iż to Unia Europejska jest w kryzysie, bez mała na granicy rozpadu, a projekt wspólnego pieniądza skazany jest na niepowodzenie. Założenie takie pomija – niewygodną dla polityków krajowych – istotę Unii, którą stanowią przecież państwa członkowskie. Pomija też to, że Unia jako taka funkcjonuje sprawnie, a strefa euro konsoliduje się, stając się punktem odniesienia do reformy ustrojowej całej Unii. Kryzys UE, to w istocie kryzys demokracji i kryzys myśli europejskiej w państwach członkowskich. Natomiast diagnoza sytuacji w części państw członkowskich jest wysoce niepokojąca¹ – zwraca zwłaszcza uwagę rosnący wpływ przeciwników społeczeństwa otwartego i paralelny spadek zaufania do modelu społeczeństwa liberalnego; w wielu państwach więcej osób niż kilkanaście lat temu uważa, iż lepsze rozwiązania polityczne jest w stanie zaoferować rząd autorytarny niż rząd demokratyczny. Zasadnie stawiane jest pytanie, czy wkraczamy w stadium upadku liberalnego porządku międzynarodowego, jaki wytworzył się po 1945 r.? Umacnianie się w części państw członkowskich tendencji nacjonalistycznych i autorytarnych siłą rzeczy przekłada się na narastający kryzys w Unii. Państwa niedemokratyczne nie są w stanie tworzyć i tolerować form nowoczesnej integracji, zakładających wspólnotę interesów.

Obecnie w kilkunastu państwach członkowskich Unii w sprawowaniu rządów uczestniczą lub rządy takie sprawują partie populistyczne i nacjonalistyczne. Do tej grupy państw członkowskich należy Polska po objęciu władzy przez partię Prawo i Sprawiedliwość (PiS). Zauważmy, że nastawienie rządu PiS do procesu integracji europejskiej budowane jest na założeniu głębokiego kryzysu Unii i rozpadu strefy euro. Założenie takie nie pozwala na sformułowanie żadnej pozytywnej „strategii europejskiej”. Wypowiedzi prominentnych przedstawicieli partii rządzącej na ten temat są pełne sprzeczności i trudno dopatrzeć się w nich jakiegóż strategii, chyba że faktycznym celem jest dążenie do coraz większego dystansowania się od procesu integracji europejskiej aż do opuszczenia Unii włącznie.

1 *Munich Security Report 2017. Post-Truth, Post-West, Post-Order?*, Stiftung Münchner Sicherheitskonferenz, www.ppa-office.com.

Na ten zasadniczy problem nakładają się równie istotne wyzwania dotyczące społecznej percepcji znaczenia integracji europejskiej. Podejmowane w ramach UE wysiłki – począwszy od traktatu z Maastricht a skończywszy na Traktacie z Lizbony – na rzecz sprawienia, aby obywatel Unii utożsamiał się ze wspólnotą europejską w znacznej mierze się nie powiodły. Szczególnie symptomatyczne jest to w przypadku państw członkowskich takich jak Polska, dla których wejście do Unii stało się trampoliną do osiągnięcia sukcesu – olbrzymiego skoku cywilizacyjnego. Tymczasem prawie 40% Polaków uważa, że państwo mogłoby lepiej rozwijać się poza strukturami integracyjnymi². Szczególnie znamienne jest też to, że ponad 25 lat transformacji i członkostwo w UE nie stworzyły efektywnego społeczeństwa obywatelskiego i na tyle silnych mechanizmów, aby zdecydowana większość społeczeństwa była w pełni przekonana do nadrzędnej wartości integracji, praworządności i gospodarki rynkowej.

Zarazem jednak udział w procesie integracji europejskiej jest ceniony. W Polsce utrzymuje się stałe, oscylujące wokół 80%, poparcie dla członkostwa w Unii Europejskiej, nawet jeżeli ma ono zróżnicowany charakter³. Co więcej, członkostwo to jest ostatnio cenione również jako „bezpiecznik” i „regulator” ostatniej instancji wobec działań władz krajowych, a w ostateczności (niestety) jako „rezerwowy obszar indywidualnej strategii” (emigracji!). Wielkie otrzeźwienie związane jest z Brexitem, który nie tylko nie rozpoczął – jak niektórzy mniemali – „reakcji łańcuchowej”, ale również namacalnie pokazuje korzyści i zalety przynależności do Unii.

Można z tego wysnuć dwa wnioski generalne⁵. Unia potrzebuje radykalnej reformy swojej komunikacji społecznej (dotychczasowe środki okazały się niedostateczne). Jednocześnie musi zdecydowanie cenić jako dobro najwyższe wspólny system aksjologii, jest to bowiem *conditio sine qua non* istnienia procesu integracji europejskiej. Tym samym procedura ochrony praworządności nie może być traktowana kunktatorsko oraz z założeniem, że nie będzie efektywna (*lost battle*). Takie podejście byłoby równoznaczne z fragmentacją procesu integracji europejskiej.

2 Por. *Polacy wobec UE: koniec konsensusu*, Raport Fundacji Batorego z grudnia 2016 r.

3 *Ibidem*.

4 Zob. M. Marody, w: EB86 Spojrzenie na Polskę, https://ec.europa.eu/poland/news/170306_marody_barcz_pl (dostęp: 5.05.2018).

5 Zob. J. Barcz, *ibidem*.

Józef M. Fiszer

Moim zdaniem o Unii Europejskiej, tak jak o każdym innym podmiocie prawa międzynarodowego i stosunków międzynarodowych, należy mówić i pisać w sposób obiektywny, czyli rzeczowo i uczciwie, tak aby jego obraz był prawdziwy. Należy pisać i mówić w sposób zrozumiały dla przeciętnego słuchacza czy czytelnika (obywatela), a więc unikać pseudonaukowego żargonu czy specyficznego języka, np. zrozumiałego tylko dla specjalistów prawa międzynarodowego i badaczy (ekspertów) zajmujących się zawodowo Unią Europejską.

Rzecz jasna, każdego naukowca, politologa, ekonomistę czy badacza współczesnych stosunków międzynarodowych obowiązuje znajomość warsztatu badawczego, w tym adekwatnej dla danej dyscypliny metodologii (teorii, metod i technik badawczych), zgodnie z którymi powinien on analizować daną rzeczywistość, np. UE i zachodzące w jej ramach zjawiska i procesy oraz ukazywać ich związki przyczynowo-skutkowe. Najpierw więc badamy (diagnozujemy) i analizujemy, opierając się na przyjętym paradygmacie czy teorii naukowej, a następnie oceniamy i opisujemy Unię Europejską oraz formułujemy wnioski końcowe. Nie wolno natomiast w sposób aprioryczny formułować wniosków i ocen, które w dodatku są podporządkowane określonej ideologii lub polityce rządzącej partii czy koalicji. W ten sposób badacz zaprzęga naukę w rydwan bieżącej polityki państwa lub danej partii, czyli uprawia propagandę sukcesu lub klęski, propagując czarny lub biały obraz UE i utrwalając tendencje (nastroje) euro-optimistyczne lub euro-pesymistyczne w społeczeństwie. Mamy wówczas do czynienia z podejściem subiektywnym i mocno zafałszowanym obrazem Unii Europejskiej. Tego zaś nie wolno robić ani naukowcom, ani dziennikarzom. Mają oni bowiem obowiązek dążyć do prawdy i to prawdy absolutnej, bez względu na ich preferencje ideologiczne czy polityczne.

Natomiast zdanie, że „Unia Europejska znajduje się w [wielowymiarowym] kryzysie”, bez głębszej analizy i merytorycznego uzasadnienia jest zdaniem subiektywnym, które tylko utrwała takie wyobrażenie czy (nie)wiedzę o UE. Jeżeli stwierdzamy, że UE jest w wielowymiarowym (mega) kryzysie, to musimy to udowodnić, czyli pokazać jego przyczyny i przejawy oraz możliwości wyjścia z tej sytuacji. Unia Europejska przechodziła okresy rozwoju i kryzysów, ma swoje plusy i minusy, nie jest przecież bytem doskonałym, stanowi raczej podmiot *in statu nascendii*, jak sądzą niektórzy badacze – podmiot w drodze, który należy wciąż doskonalić, przekształcać i reformować, aby stała się bytem akceptowanym przez suwerenne państwa i ich obywateli.

To wymaga jednak czasu i rozległej, obiektywnej wiedzy o UE. Niestety, wiedza polskich obywateli o Unii wciąż jest niewielka, a to ułatwia manipulowanie społecznymi nastrojami.

Jednocześnie Unia Europejska i jej przywódcy powinni postawić na uniwersalistyczno-partykularną syntezę jedności w wielości oraz jedności w różnorodności, która wzbogaca i rozwija, ale nie niszczy tego, co już jest. Przede wszystkim zaś należy eksponować dobro wspólne (ponadnarodowe) bez eliminowania (zatracania) dobra indywidualnego (narodowego).

Jan Kofman

Jest oczywiste, że każda publiczna wypowiedź o kryzysie Unii Europejskiej, będąca diagnozą, analizą czy prognozą i w zależności m.in. od środka przekazu, postaci (werbalnej lub innej), użytych argumentów, oddziałuje na zasięg kryzysu, jego siłę i formy przejawiania się. Prawda, wiele zależy od naszych intencji, światopoglądu, środowiska, w którym się obracamy, drogi badawczej, którą kroczymy, mistrzów naukowych, jeśli ich mieliśmy, wzorców refleksji metodologicznej. Jako badacze zapewne staramy się oderwać (albo przynajmniej zdaje nam się, że się staramy) od własnych preferencji politycznych i światopoglądowych i dystansować od nazbyt ekspresyjnej i emocjonalnej formy przekazu. Niemniej nie przeceniałbym ani znaczenia, ani skali możliwości wpływania przez ekspertów, badaczy czy nawet merytorycznych i wytrawnych publicystów na szersze kręgi odbiorców. Tu największy wpływ na opinię społeczną mają zdolni politycy i propaganda. Natomiast naukowcy i specjaliści powinni przekonywać merytoryczną argumentacją, tyle że jest wątpliwe, by ta realnie docierała do masowego odbiorcy.

W powyższym stwierdzeniu zawarta jest poniekąd i odpowiedź dotycząca przedmiotu ankiety. Jest oczywiste, że (z różnych zresztą powodów) także dyplomaci i, zwłaszcza, nauczyciele akademicy powinni znać sposoby i praktyki, w tym narzędzia perswazyjne, prowadzenia publicznej dyskusji o Unii. Zarazem jednak właśnie oni, niejako „z definicji”, są zobligowani do dyscypliny myślowej i wręcz unikania języka emocji, ze swej istoty wartościującego i przeważnie wpływającego ujemnie na kształt takiego dyskursu. Zdarza się, że w szerszych wystąpieniach publicznych zapominamy o zasadach rządzących naukową profesją i, chcąc nie chcąc, przyczyniamy się zarazem do obniżenia poziomu dyskusji.

Chociaż niemal „od zawsze” twierdziło się, że UE rozpada się albo wkrótce zacznie się rozpadać, jednak, jak dotąd, szybciej czy wolniej przetrwa

ona kolejne trudności polityczne, konflikty interesów między różnymi państwami czy grupami państw (jak między „starą” Unią i „młodą” albo krajami strefy euro z będącymi poza nią), czy osłabia napięcia między Europą dążącą do ściślejszej i głębszej integracji, z ograniczonymi uprawnieniami państw członkowskich, a Europą suwerennych państw narodowych o luźniejszych strukturach ponadpaństwowych, oraz kryzysy instytucjonalne itd. Na przykład w ostatnim 15-leciu Unia bez większych wstrząsów przeszła przez trudny etap rozszerzania o kraje Europy Środkowo-Wschodniej, całkiem dobrze poradziła sobie ze skutkami globalnego kryzysu finansowego z lat 2007–2008/2009, a obecnie zмага się (choć na razie ze zmiennym powodzeniem) z groźnym kryzysem uchodźczym. Po prostu różne przesilenia, załamania, zastoje są oczywiście jej stanem naturalnym. W tym sensie zatem – Unia istnieje i rozwija się dopóty, dopóki pokonuje kryzysy.

Suchy „język traktatów, instytucji, procedur” jest przeważnie odrzucany (bo jest niezrozumiały) przez szeroką opinię publiczną, a jednak konieczny w dyskursie naukowym; z kolei „język wartości, tożsamości, emocji i doświadczeń” był, mniej czy bardziej otwarcie, zawsze przecież obecny w polskich dyskusjach (zdarza się, że także wśród badaczy) o Unii. Byłoby jednak źle, gdyby ten drugi język miał dłużej decydować o polskiej polityce zagranicznej.

Paweł Kowal

Mówienie o rzeczywistości, sposób nazywania zjawisk to klucz do efektywnej polityki. Obecny język opisu Unii Europejskiej ukształtował się w okresie poprzedzającym akcesję Polski i wyrastał z trzech źródeł: doświadczenia polskiej transformacji, doświadczeń okresu przedakcesyjnego, a także z potrzeb politycznej perswazji wobec wątpliwości części polskich prawicowych elit politycznych z powodu wstępowania do Unii Europejskiej.

Po pierwsze, był to więc język „historycznej sprawiedliwości”. Transformacja w Europie Środkowej, a szczególnie w Polsce, oparta była na poczuciu historycznego zwrotu akcji, „odwojowania” negatywnych skutków II wojny światowej, a w przypadku Polski odwojowania historycznej niesprawiedliwości, która spotkała RP w wyniku ustaleń podjętych w Jałcie na początku 1945 r. Stąd tak istotną rolę w debacie odgrywało hasło „powrotu do Europy”, powrotu do rzeczywistości, z której Polska została wypchnięta także w wyniku zdrady sojuszników. Wejście Polski do Unii było w tym ujęciu także szansą dla sojuszników, również dla Niemców, na „odwrócenie” trendu,

niejako historyczne zreflektowanie się nad swoimi błędami, a dla Polski nowym aktem „dziejowej sprawiedliwości”.

Po drugie, doświadczenie okresu przedakcesyjnego, skomplikowane negocjacje w poszczególnych sektorach spowodowały, że w percepcji opinii publicznej wytworzyło się przekonanie, iż „negocjacje unijne” są procesem niemożliwym do intelektualnego objęcia przez normalnego śmiertelnika. W rzeczywistości Polska dysponowała w tamtym okresie zaledwie nielicznym zespołem ekspertów, którzy byli odpowiednio przygotowani do poprowadzenia negocjacji. Owo przekonanie o technicznej trudności rozmawiania z przedstawicielami instytucji Unii zaowocowało „wyłączeniem” w świadomości ekspertów, ale także szerszej opinii publicznej procesów politycznych związanych z negocjacjami i potem procesów wewnątrz Unii spod ogólnych reguł rządzących procesami politycznymi, w tym relacjami międzynarodowymi. Stąd przekonanie o „bezduszości” unijnych procedur oraz absolutyzowanie „unijnych standardów”, niezdolność do ich interpretowania w kategoriach politycznych interesów i związanej z ich przyjmowaniem politycznej gry.

Trzeci aspekt polskiego języka unijnego wiąże się z pierwszym: to przekonanie, że „Unia daje”, a nawet „Unia musi nam dawać”, czyli zredukowanie skomplikowanej rzeczywistości politycznej tylko do rozdzielania środków, bez refleksji skąd one się biorą ani jaka jest przyczyna, że zachodni partnerzy są zdecydowani się nimi dzielić. Za takim podejściem kryje się deficyt rozumienia, że korzyści są dwustronne, wymagają jednak trudnej strategicznej decyzji po stronie zachodnich partnerów, by jakieś środki „zainwestować” na wschodzie i południu Unii z korzyścią płynącą dla wszystkich z wyrównania poziomu rozwoju, a następnie zyskiwać na dostępie do mniej rozwiniętych rynków czy korzystać z możliwości inwestycji.

Po 14 latach od wejścia do Unii nasuwają się trzy sugestie dotyczące zmiany języka opisu relacji Polski z instytucjami unijnymi i, szerzej, naszej obecności w UE. Po pierwsze, powinno się ograniczyć argumentację w kategoriach historycznych. Ze względów generacyjnych sprawy te będą odgrywały mniejszą rolę. Polska powinna przypominać o historycznej nierówności, która wynika ze skutków wojny, ale nie koncentrować argumentacji na tych kwestiach. Po drugie, opis procesów wewnątrz Unii powinien być bliższy opisowi innych procesów politycznych. W naszym interesie jest, aby debata o miejscu Polski w Unii nie przebiegała w fałszywej rzeczywistości, w której o wszystkim zdają się decydować same procedury, dodatkowo niezrozumiałe nawet dla wielu ekspertów. Po trzecie i najważniejsze, konieczna jest zamiana języka doraźnej korzyści ze środków unijnych na język strategicznej

korzyści bycia we wspólnocie, rozumianej jako jedność prawna, w przyszłości być może walutowa itd., jedność, która uniemożliwia „oddzielenie” Polski od Europy i traktowanie jej przez zewnętrznych konkurentów gorzej niż innych członków Unii.

Jerzy Kranz

Polskie debaty o Unii Europejskiej, jej aktualnym i przyszłym modelu, są relatywnie ograniczone i ubogie oraz w wielu przypadkach przesiąknięte ideologią lub niewiedzą.

W debacie przeważa ton o Unii niedemokratycznej, hegemonialnej, utopijnej i godzącej w polską suwerenność. Zagroza nam Unia mieszająca się w sprawy wewnętrzne, a krytyczne uwagi UE o stanie praworządności w Polsce prowadzą tylko do wzmocnienia fali eurosceptycyzmu. Integracja unijna znajdować się ma w stanie głębokiego (zwłaszcza aksjologicznego) kryzysu.

Tymczasem w Unii nabiera tempa debata nad nowymi wyzwaniem (unia fiskalna, unia bankowa, wspólna polityka obronna), a wizja kryzysu (czy to w strefie euro, czy w dziedzinie migracji) nie odpowiada aktualnej rzeczywistości. Ponadto termin „kryzys” oznacza punkt przelomowy (zwrotny) lub przesilenie, niekoniecznie zaś załamanie, zapaść. Kryzysy nieodłącznie towarzyszą życiu społecznemu i dlatego posługiwanie się tym terminem wymaga ostrożności.

Przykładem nieporozumień jest też przywoływanie zagrożeń dla polskiej suwerenności lub unijnego deficytu demokracji. Dowolność posługiwania się tymi terminami nie zna granic, a różne polityczne partie i środowiska wykorzystują tę sytuację dla swych partykularnych, często eurosceptycznych celów.

Polska opinia publiczna kształtowana jest w dużej mierze w duchu nieprzychylnym Unii, w rezultacie wielu kwestii nie rozumie lub jest niekiedy celowo wprowadzana w błąd. Tendencja posługiwania się elementami polityki zagranicznej do celów polityki krajowej nie sprzyja zrozumieniu otaczającego świata.

Brak informacji i pogłębionej debaty na tematy unijne wynika z niechęci i niekompetencji w partiach politycznych oraz z niewydolności mediów, a zwłaszcza tzw. tygodników opinii. Dotyczy to rzeczowej informacji i analizy ekonomicznej, jednak w większym stopniu obszaru prawa. Bez znajomości prawa UE trudno zrozumieć krytykę praworządności (art. 2 i art. 7 TUE), perspektywę przystąpienia do strefy euro czy też postępowanie przed trybunałem UE, np. w sprawie Puszczy Białowieskiej. Unia jest bowiem organizacją

opartą na prawie, stanowiącą prawo i wykonującą władzę publiczną na terytorium państw członkowskich.

Co się tyczy środowisk eksperckich, poziom analiz jest lepszy zarówno w sferze ekonomicznej, jak i prawniczej. Propozycje koncepcyjne dotyczące modelu i przyszłości UE pojawiają się jednak zbyt rzadko i nie wpływają na toczącą się międzynarodową debatę. Najślabsze jest ich przełożenie na działania polskiej polityki i polityków w samej Unii. Pod tym względem Polska dryfuje ostatnio niebezpiecznie w stronę unijnej peryferii. Rząd obiecuje sformułowanie planu naprawy Unii, jednak dotąd nie doczekaliśmy się polskiego projektu reform.

Ramy i struktura społecznej debaty są niewystarczające. Potrzebne jest stworzenie ogólnopolskiej i sprawnej sieci różnych, zaangażowanych już w sprawę unijne środowisk, która spełniałaby w większym stopniu funkcję informacyjną i edukacyjną.

Roman Kuźniar

Zapewne najprostsza odpowiedź powinna brzmieć: mówić prawdę, a prawda Unię Europejską obroni. Bo przecież przy wszystkich znanych słabościach, błędach i grzechach Unii, dominacja jej przewag jest miazdząca. Można raczej zapytać, dlaczego nie potrafimy tych przewag przekonująco ukazać? Może jest tak, że część odpowiedzialności za czarny PR o Unii, z którym mamy ostatnio do czynienia, jest w nas, w naszym nastawieniu, modzie czy wręcz lęku przed mówieniem dobrze o Unii. Bo przecież „nie wypada” o UE mówić dobrze, zwłaszcza uczonemu, badaczowi, kiedy „dzieje się tak źle...”. W przypadku Unii Europejskiej jest trochę tak, jak stało się z Organizacją Narodów Zjednoczonych, w stosunku do której od przynajmniej dwudziestu lat dominuje wyłącznie negatywna narracja. Tylko jakoś nic nie potrafimy zrobić, aby zmienić to, na co narzekamy. My, czyli gospodarze ONZ. Wszyscy dobrze wiemy, jaką ironię, szyderstwo, czy nawet gorzej, rezerwuje się dla Ligi Narodów. Tylko jakoś zapomina się, że po jej rozwiązaniu została utworzona... jedynie ulepszona wersja Ligi Narodów, czyli ONZ. Nic zasadniczo nowego. Bo też Liga była dobrym projektem, a jej klęska była najpierw i przede wszystkim klęską jej państw członkowskich, zwłaszcza tych, które nią zarządzały, czyli w istocie ją zdradziły. Oby Unia Europejska nie podzieliła losów Ligi z podobnych powodów.

Mówiąc o UE, musimy po pierwsze pamiętać, że jest wytworem człowieka, wielu ludzi, więc nosi piętno ludzkich niedoskonałości czy słabości.

Żadne dzieło Michała Anioła nie byłoby tak piękne, gdyby było dziełem zbiorowym, a nie tylko podpisanym przez jednego, genialnego twórcę. Unia jest dzieckiem kompromisu zawartego przez ludzi. Inaczej być nie może, a nawet nie powinno. Stąd wynika jej moc, ale też i słabości. Po drugie, jest zarządzana przez państwa, wiele państw, z ich zmiennymi nie tylko interesami, ale i nastrojami, które ewoluują od wyborów do wyborów. Radykalna zmiana stosunku Polski do UE od końca 2015 r. świetnie pokazuje tę zmienność nastrojów i jej skutki dla Unii. Jeśli więc Unia nie idzie do przodu, nie jest reformowana, nie jest skuteczna, to przecież jest to nasza – państw członkowskich – „zasługa”. I wreszcie po trzecie, mówiąc o Unii, trzeba się rozglądać, trzeba wyrzeć poza nią. Czy jest gdzieś poza Europą lepsza organizacja, która lepiej służy swym państwom członkowskim, swym narodom i obywatelom? Nie ma takiej! UE wyprzedza o lata świetlne inne regiony, pod względem organizowania współpracy państw, narodów, ludzi dla ich wspólnego dobra: pokoju, bezpieczeństwa, wolności, rozwoju materialnego i kulturowego.

Dlaczego prawdy te się nie przebijają, dlaczego w czasach zwycięskiego populizmu, postprawdy, malkontentstwa i historycznej amnezji mamy do czynienia z festiwalem szyderstwa i pogardy dla Unii Europejskiej? Odpowiedź jest oczywiście częściowo zawarta w pierwszej części zdania. Wiem, że wyjaśnienie, dlaczego UE ma tak zły wizerunek i dlaczego wolimy mówić o niej źle, nie jest jeszcze receptą na skuteczne, w sensie dotarcia do odbiorcy, mówienie o Unii w taki sposób, abyśmy, my sami i ci, do których mówimy, zaczęli o niej inaczej mówić. A że jest czas, aby dobrze o niej mówić, nie mam żadnych wątpliwości. Bo jeśli utrzyma się, a nawet, jak widzimy, będzie się pogłębiać ten festiwal pogardy, ośmieszania i lekceważenia Unii, sprowadzania jej jedynie do roli „dojnej krowy”, która jeśli nie da mleka w ilości przez nas oczekiwanej, znaczy, że jest zła i jedynie czyni zamach na naszą suwerenność, to nie mam wątpliwości, że skończymy jak w przypadku Ligi Narodów. Jeśli nie cała Europa, to z pewnością Polska, która może znaleźć się poza Unią, czyli *de facto* poza Europą.

Oprócz argumentów praktycznych – swobody ruchu, pracy, zamieszkania od Przemysła do Lizbony, pozyskiwania funduszy (nie tylko na drogi i ochronę środowiska, ale także na badania naukowe) czy taniego roamingu – nie wolno jednak zapominać o wartościach i historii. Na początek, trzeba mówić o Polsce i Europie bez Unii Europejskiej, czyli mówić o Polsce, której nie było, bo znalazła się pod zaborami oraz o Europie nacjonalizmów (inaczej: „Europie ojczyzn”, do której tak wielu u nas wzdycha), która doprowadziła do II wojny światowej i jej geopolitycznych konsekwencji. Jeśli my o tym

nie potrafimy dobrze mówić, to niech mówi za nas wielki polski patriota Wojciech B. Jastrzębowski, kanonier w bitwie pod Olszynką Grochowską. To pod wrażeniem wyniesionym z tej bitwy, ze śmiertelnego starcia Polaków i Rosjan, ale też w jego oczach Europy walczącej z żywiołem cywilizacyjnym jej wrogim, pisze dwa miesiące później *Konstytucję dla Europy*, w której przedstawił najbardziej dojrzały polski plan zjednoczenia Europy. Przesłanie, które z tej pracy wynika, jest następujące: nie ma polskiej wolności bez europejskiej jedności. Pozostaje do dziś aktualne. Jeśli nie potrafimy go przełożyć na współczesność, to już nasza wina i my (także Polska) poniesiemy tego konsekwencje.

Katarzyna Pelczyńska-Nałęcz

Mówienie o Unii Europejskiej w Polsce wymaga dzisiaj zupełnie innego języka niż w poprzednich latach. Eksperci zajmujący się tą tematyką muszą uwzględnić przede wszystkim trzy nowe czynniki.

Po pierwsze, Unia Europejska, jak nigdy dotąd, stała się w naszym kraju przedmiotem batalii politycznej. Przy czym podziały dotyczą nie tylko konkretnych rozwiązań instytucjonalno-prawnych, ale także fundamentalnych unijnych wartości, a nawet samego faktu przynależności do Wspólnoty. W tej sytuacji badacze i publicyści, którzy profesjonalnie zajmują się Unią, mogą ulec pokusie uwikłania w bieżący konflikt polityczny, ryzykując utratę obiektywizmu na rzecz wsparcia którejś ze stron sporu. Druga skrajność, ucieczka w profesjonalną, techniczną, oderwaną od rzeczywistości narrację i tym samym wyalienowanie się od tej kluczowej dla Polski dyskusji również nie wydaje się rozwiązaniem. W natłoku powierzchownych, często opartych na nieprawdziwych faktach, emocjonalnych komunikatów, bardzo potrzebna jest bowiem profesjonalna analiza. Wydaje się więc, że zakorzenienie ekspertyzy i badań o UE w bieżących realiach politycznych jest niezbędne. Przy czym ważne jest, aby wiedza ta była prezentowana w sposób zrozumiały i atrakcyjny, tak aby była ona dostępna nie tylko dla wąskiego kręgu specjalistów. Równocześnie jednak analizy te powinny być rzetelne i wiarygodne. Niezwykle ważne jest, aby nie dochodziło w nich do celowego „naginania faktów” do koniunkturalnych potrzeb politycznych.

Drugim nowym czynnikiem, który wpływa dzisiaj na debatę o UE, jest odejście w Polsce i szerzej w Europie od paradygmatu „końca historii”. Unia przestała być rzeczywistością bezalternatywną. To oznacza, że mówienie o niej dzisiaj wymaga nie tylko tłumaczenia, na czym polega funkcjonowanie

Wspólnoty, ale także porównywania sposobu funkcjonowania zjednoczonej Europy do innych rozwiązań, które realizują (tak jak Wielka Brytania czy Turcja) lub też promują (np. Rosja) inne znaczące państwa europejskie. Tutaj niezwykle ważne wydaje się odejście od dominującej w polskim dyskursie publicznym klientelistyczno-statycznej wizji Unii. UE była i często ciągle jest postrzegana jako rzeczywistość zastana, w której obywatele polscy odgrywają rolę mniej lub bardziej krytycznych obserwatorów. Dużo bliższe dzisiejszym realiom jest zaś przedstawianie Unii jako wspólnego zadania, procesu, który my, obywatele Rzeczypospolitej, współkształtujemy wraz z innymi krajami członkowskimi z myślą o własnych interesach, ale także z poczuciem odpowiedzialności za całość.

Wreszcie Polska droga ku Unii i w Unii to już nie tylko teraźniejszość. To także najświeższa, ale jednak historia. Ta historia ciągle nie została dobrze opisana, podsumowana i przedstawiona polskim obywatelom. Jej rzetelny ogląd, wyciągnięcie wniosków z popełnionych błędów oraz poczucie dumy z dokonań stanowi niezwykle cenny kapitał zarówno praktyczny, jak i kulturowy dla polskiego społeczeństwa. Podsumowanie polskiej historii w Zjednoczonej Europie, w sposób wielopoziomowy, bez uproszczeń, a także bez uwikłania w bieżącą batalię polityczną, jest być może jednym z głównych wyzwań, jakie stoją dzisiaj przed naukowcami, ekspertami i publicystami zajmującymi się profesjonalnie Unią Europejską.

Roman Wieruszewski

Moja perspektywa Unii Europejskiej z jednej strony jest perspektywą prawnika zajmującego się analizą prawa UE pod kątem specjalności zawodowej, czyli praw człowieka, z drugiej zaś obywatela UE, czyli podmiotu praw i obowiązków wiążących się z faktem członkostwa Polski w tej organizacji ponadnarodowej. Chciałbym w krótkiej wypowiedzi przedstawić obie te płaszczyzny.

Perspektywa prawnicza. Jestem zdania, że zarówno doktrynerzy, jak i praktycy bardzo serio podeszli do nowej perspektywy dla systemu prawa w Polsce w związku z członkostwem w UE. Trzeba pamiętać, że prawnicy z natury są konserwatystami i tradycyjnie nieufnie podchodzą do niekrajowych źródeł prawa. Nie jest to zjawisko typowe wyłącznie dla polskiego prawoznawstwa, lecz cechujące również inne państwa. Okazało się jednak, że w przypadku polskich prawników ów proces zrozumienia znaczenia prawa UE przebiegł bardzo szybko. Na pewno wielką rolę odegrały prace uczonych

specjalizujących się w prawie UE, tu pierwszeństwo z pewnością należy się prof. Janowi Barczowi i kierowanemu przez niego zespołowi badaczy. Jednak również praktycy, sędziowie, adwokaci, radcy prawni szybko dostrzegli korzyści, jakie daje obowiązywanie prawa UE w Polsce. Stąd też polskie sądy są jednym z liderów pod względem liczby pytań prejudycjalnych kierowanych do Trybunału Sprawiedliwości UE. Środowisko prawnicze od początku miało też pozytywny stosunek do Karty Praw Podstawowych UE, dokumentu, w którym skatalogowano obowiązujące w UE prawa człowieka. Kolejne rządy prezentowały, delikatnie rzecz ujmując, sceptyczny stosunek do Karty. Podjęto nawet próbę, nieskuteczną zresztą, ograniczenia jej obowiązywania w Polsce. Jednak Karta jest w Polsce stosowana, co znajduje m.in. wyraz w orzeczeniach sądów polskich. Powstaje jednak pytanie, czy ów pozytywny stosunek prawników do prawa UE przebił się do świadomości społecznej? Niestety odpowiedź jest negatywna. Polski świat prawniczy – zarówno praktycy, jak i teoretycy – w swojej większości ma poważne problemy z komunikowaniem się ze społeczeństwem językiem zrozumiałym dla niefachowego odbiorcy. Tym samym w świadomości społecznej nie utrwała się wiedza o pozytywnym wpływie prawa UE na nasze życie.

Perspektywa obywatelska. Czy Polacy zdają sobie sprawę, że UE to nie jest „zagranica”? Szczególnie obecna władza z uporem propaguje taki przekaz, że Komisja, ale także Parlament i Rada to są obce ciała ingerujące „z zewnątrz” w nasze suwerenne sprawy. Nie ma w zasadzie w przestrzeni publicznej żadnego przekazu budującego świadomość przynależności do „obywateli europejskich”. Stąd też z wielkim uznaniem przyjmuję inicjatywę Olgierda Łukaszewicza utworzenia fundacji „My obywatele Unii Europejskiej” w celu promocji idei obywatelstwa UE. Musimy podjąć wysiłek dotarcia do jak najszerszych kręgów społecznych z informacją, że UE to nasze wspólne dziedzictwo i że wynikają z tego członkostwa zarówno wymierne korzyści, jak i określone obowiązki.